



GRAŻYNA PLEBANEK

PANI FURIA

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

28 LIPCA 2014

„LE MATIN”, WIADOMOŚCI LOKALNE

Na szczęście krew spłynęła na posadzkę. Dzięki temu go odnaleziono. Mężczyzna uwięziony w metalowej szafie był skuty kajdankami, miał podcięte ścięgna pod kolanami. Na krótko odzyskał przytomność, nie był jednak w stanie udzielić informacji na swój temat. Prawdopodobnie nie rozumie żadnego z języków europejskich. Trwają próby ustalenia jego tożsamości.

Nie podobała jej się ta okolica. Kapryśne światło latarki co chwila gasło w brzuchu przepastnej kamienicy.

Mariusz włączył radio, ciszę zalał rap o szeleszczących słowach, przez które ledwo usłyszała jego głos.

– Polski zespół, posłuchaj sobie – rzucił.

Wysiadł, a ona została sama w zamkniętej przestrzeni samochodu siekanej obcymi słowami. Badała wzrokiem wyludnioną okolicę. W końcu wyłączyła muzykę i opuściła szybę. Cisza przemysłowych przedmieść wydała jej się nierealna.

Naraz usłyszała krzyk dochodzący z kamienicy, w której zniknął Mariusz. Wyskoczyła z samochodu, wyciągnęła pistolet. Pchnęła drzwi z przerdzewiałą kołatką. Światło latarni ulicznych omiotło wnętrze korytarza – jedne schody prowadziły w górę, drugie, węższe, w dół. Zeszła ostrożnie kilka stopni. Tuż nad sobą usłyszała pisk, odruchowo skierowała w tamtą stronę latarkę. Szczur nad jej głową trzymał się pazurami cegieł, wydawało się, że zaraz na nią spadnie, w świetle latarki drżały siny ogon i mięśnie ud pokrytych szarosiwą sierścią.

Znów krzyk. Szczur smyrgnął po murze i spadł z piskiem, zahaczając pazurami o jej nagie przedramię. Piwnica zamknęła się wokół niej, jakby była żywa, pokryta od środka mokrawym futrem. Siłą woli zrobiła kilka kroków w górę – raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem – i już miała pod stopami potłuczoną posadzkę klatki schodowej. Skierowała snop światła na rozciętą skórę. Zdziwiły ją pełne namysłu czynności własnego ciała – krechy zadrapań nasycaly się ciemną czerwienią, krystalizowały się krople krwi.

Kolejny raz: krzyk. Wbiegła po schodach, przystanęła na podeście. Zza drzwi dobiegało warczenie psa. Powoli rozpoznawała i ludzkie głosy: Instruktor, Paolo, po chwili – głos Pascale, dziwnie zdyszany. I jeszcze jeden, jęczący coś w języku, którego nie rozumiała.

Pchnęła drzwi i stanęła w progu na rozstawionych nogach. Wyciągnęła przed siebie pistolet.

– Kurwa, mówiłem jej, żeby zaczekała w samochodzie, szefie.

Rozpoznała szerokie ramiona i ogoloną czaszkę Mariusza, od której odbijało się światło bźdzającej latarni. Pochylał się nad nieruchomym tłumokiem leżącym na podłodze. Pascale kopnęła podługowaty kształt i wdeptała weń żarzącego się papierosa.

Zza okna doszedł łomot – deszcz, który wzbierał od kilku dni, lunął, z furią grzmocił o nierówną kostkę brukową, bębnił o dachy ich samochodów, zagłuszał zawodzenie dobywające się z kształtu, nad którym pochylał się Mariusz.

– Co tu się dzieje?! – Jej krzyk przebił się przez bębnienie kropel.

Z mroku wynurzył się Instruktor z roslým owczarkiem przy nodze. Obnażone kły białały w ciemności. Pies nie miał kagańca.

– Ty będziesz następna, Alia – wycedził Instruktor, patrząc jej w oczy.



Ojciec powiedział Alii, jak ją spłodził. Była lipcowa noc, miasto żyło zbliżającym się pojedynkiem. Mężczyźni roztrząsali nad piwem Primus szczegóły nadciągającej walki. George Foreman miał dwadzieścia pięć lat i budową przypominał czołg, ciosami mógł ściąć drzewo. Muhammad Ali był szybki i tańczył na ringu, drwiąc z przeciwników, zwłaszcza tych zwalistych.

– Tylko że Ali był już wtedy stary. Miał trzydzieści dwa lata – powiedział Eddy.

– A ty ile masz lat, tatusiu? – zapytała Alia.

Eddy sapnął, jakby właśnie dostał zadyszki. Alia przewróciła się na plecy i nakryła kołdrą, spod której za chwilę dobiegł jej chichot. Ojciec potrafił zmienić się w starca, w kozła, w samolot – w co tylko chciał. Teraz wśliznął się pod kołdrę pod postacią węża i sykiem wykurzył stamtąd dziewczynkę.

– Ali udawał, że jest słaby – rozpoczął znów. – I to był podstęp.

– Jaki podstęp, tatusiu, jaki?! – zapiszczała Alia.

– Nie przerywaj mi, ty mały komarze! – Ojciec pacnął powietrze tuż przy jej uchu, po czym wyprostował się i podjął zupełnie innym tonem: – To opowiadam ja, Eddy, gawędziarz z Kinszasy...

Tej nocy spadł wielki deszcz. Woda sięgała ludziom po kostki. Wszyscy ciągnęli na stadion, gdzie ustawiono ring dla największych bokserów świata. I największe trybuny, bo wszyscy, ale to wszyscy, chcieli zobaczyć walkę stulecia! Wielu poraniło sobie nogi, bo szli na bosaka, a w kałużach wiadomo, co jest – stare puszki, potłuczone butelki, zardzewiałe druty. Ale mnie nic się nie stało, bo bóg opowiadaczy zesłał mi dwa żółwie. Postawiłem stopy na ich płaskich

skorupach i tak dotarłem na stadion. Zaczęła się walka. Ja też tam byłem i na to patrzyłem. Walka się skończyła, a ja wracałem potem ulicami Kinszasy...

– Ale kto wygrał, kto wygrał, tatusiu?

Jak już mówiłem, ja też tam byłem i na to patrzyłem. Po walce tłum wylał się na ulice Kinszasy i szedł, śpiewając: Ali bomaye! Ja też się darłem. Woda sięgała już wtedy ludziom po kolana, a dzieciom i kurduplom po uda. Ali bomaye! – wrzeszczeliśmy. I to była prawda: Ali zwyciężył! A z każdym naszym okrzykiem znów wygrywał. Bo trzeba ci wiedzieć, że słowa mają taką moc!

Tymczasem wartki nurt naszych ciał płynący środkiem Kinszasy podzielił się na dwie odnogi, potem trzy, potem na mniejsze strumienie i całkiem małe strużki. Dlatego zanim wszedłem do domu, uniosłem się nad Kinszasę – żeby sobie na to wszystko popatrzeć z góry.

– Wysoko się uniosłeś?

– Jakies sto metrów.

– Naprawdę umiesz latać, tatusiu?...

Właściwie Eddy się wzniósł, Eddy, gawędziarz z Kinszasy. Zobaczył lampki karbidowe zapalające się przed domami w całym mieście. Wyrysowywały nowy szlak – już nie wodny, ale świetlny. Eddy zrozumiał, że to gwiazdy spadły na ziemię i ułożyły się w Drogę Mleczną. A ona doprowadziła go do kobiety.

W domu Mrówka, żona Eddy'ego, udawała, że śpi. Eddy wyciągnął się obok niej i zaczął opowiadać, jak w pierwszej rundzie Foreman zapędził Alego w róg. Objął Mrówkę, ale go odepchnęła, marmocząc, że ma pełny brzuch i chce spać. Eddy opowiedział, jak Ali na ringu zmienił strategię: przestał uciekać, a zaczął opierać się o liny i przyjmować razy – tu Eddy przeciął ciosami powietrze, imitując ruchy mistrza. Bam! – lewy sierpowy, bam-bam! – prawy – świstało powietrze wokół ich łóżka. Pomacał jędrne udo Mrówki, ale go odepchnęła. Niezrażony, ciągnął dalej: otóż Ali tak zmęczył Foremana, że tamtemu spuchła twarz, ledwo co widział. Eddy polizał pierś

Mrówki, nie przestając mówić. Foreman właśnie szykował się powalić Alego na liny, a ten jak mu nie przyłoży prawym sierpowym! A przecież dopiero co Ali wyglądał na zdechlaka!

Szeroko otwarte oczy Mrówki pytały: „Kto wygra?” Eddy chwycił ją za biodra. Wywinęła się, ale on właśnie opisywał upadek ogromnego Foremana – ten zaś padł jak kłoda! Eddy rozsunął nogi Mrówki, Foreman spróbował wstać z desek. Mrówka się szarpnęła, sędzia zaczął liczyć: jeden, dwa, trzy, cztery... Mrówka spięła się, chcąc strząsnąć z siebie Eddy'ego. Pięć, sześć, siedem... Sędzia doszedł do dziewięciu, a Foreman wciąż leżał. Zupełnie jak Mrówka...

Pojedynek stulecia się skończył, ale zapasy Eddy'ego i Mrówki właśnie się zaczęły. Dwadzieścia osiem minut później Mrówka ogłosiła zwyciężcę. „Eddy!” – krzyknęła.

– *Eddy bomaye?* – upewniła się Alia, patrząc na ciemną sylwetkę ojca rysującą się na tle na wpół przeszlonych drzwi dziecięcego pokoju.

– Urodziłaś się dziewięć miesięcy później – wyjaśnił ojciec.

– Nauczysz mnie latać, tatusiu?

Eddy kiwnął solennie głową i przykrył córkę kołdrą po samą brodę, a następnie zniknął w świetlistym obramowaniu framugi.

Alia przyszła na świat 26 lipca 1975 roku, w sobotę, ale bóle porodowe chwyciły Mrówkę, jej matkę, już w piątek. Dlatego dała dziewczynce imię Aya, czyli „piątek” w suahili. Eddy dorzucił do imienia literę „l” i zmienił „y” na „i” – po to, żeby Alia, poczęta w noc epokowego zwycięstwa Muhammada Alego, odziedziczyła moc legendy ringu. „Alia – powtarzał latami – to ta, która lata jak motyl, a żądli jak pszczoła”.

Cztery lata po Alii na świat przyszedł jej brat Joe. Imię otrzymał po Joem Frazierze, który pokonał samego Muhammada Alego. Eddy pracował wtedy jako mechanik w warsztacie samochodowym, gdzie oddawali auta ekspaci z sztywnej dzielnicy Gombe w Kinszasie. Do jednego z nich odprowadzał aż

cztery, po jednym dla każdego z członków rodziny, a czwarty dla kochanki właściciela. Bastien, urzędnik belgijskiej ambasady, wynajmował dom z widokiem na rzekę Kongo i senne miasto Brazzaville po jej drugiej stronie. Jego żona występowała u boku męża na rautach dyplomatycznych albo leżała na najwyższym tarasie i opalała się na skwarkę. Córka chodziła do szkoły dla dzieci dyplomatów w pobliżu domu, ale nigdy nie przemierzyła tej trasy pieszo. To dla niej Bastien wynajął Eddy'ego jako kierowcę.

Eddy opowiadał potem Alii, jak z szofera córki Bastiena awansował na kierowcę żony, a niebawem stał się niezbędny kochance pracodawcy. Ta zawsze nazywała się Lily. Imię przechodziło z kobiety na kobietę, podobnie jak lokum, w którym instalował ją Bastien, apartament po drugiej stronie bulwaru 30 Czerwca, w dzielnicy Bon Marche. Żeby ścieżki kochanek i żony się nie krzyżowały.

– *Deuxième bureau*¹ – ordynował Bastien, każąc się wieźć do Lily. – Mam więcej niż jedną kobietę. Staję się prawdziwym Kongijczykiem, co?

Eddy śmiał się i kręcił głową. Bywało, że w Kongu, wtedy Zairze, mężczyźni miewali po kilka kobiet – żonę, czyli pierwsze biuro, a oprócz tego kochanki: drugie biuro, trzecie, czwarte... „Drugie biuro” – mruczał Bastien z tylnego siedzenia auta, zapalając dwa papierosy: dla siebie i dla kierowcy.

Eddy'ego bawił flamandzki akcent Bastiena siekający francuskie zwroty na befsztyk tatarski. Ochoczo wychwytywał też i przyswajał angielskie słowa. Cieszył się, że może bawić pracodawcę gawędami, które zgromadził w tych latach swojego życia, gdy wydawało mu się, że najszcześniejszy będzie, jeżdżąc po kraju, tworząc i kochając, niekoniecznie w tej kolejności. Bastien najbardziej lubił gawędy o absurdach życia codziennego Kinszasy.

1 *Deuxième bureau* (fr.) – drugie biuro.

– Wiesz, że można umrzeć w kałuży? – zagaił kiedyś Eddy.
– U nas się mówi „utopić w łyżce wody”. – Bastien rozsiadł się w fotelu wyłożonym fioletowymi poduszkami.

Normalnie wskazałby Eddy’emu drugi, ale teraz widział, że kierowca i tak nie usiądzie. Już rozpędzała się w nim opowieść.

– To będzie o śmiertelnych kałużach. – Eddy odchrząknął, wyprostował się i zajął strategiczne miejsce między dwoma słupami podpierającymi werandę.

Muślinowe zasłony identycznego koloru jak poduszki foteli tworzyły za jego plecami kurtynę, przez którą przeświecał blask słońca zachodzącego w potężnych wodach rzeki Kongo. Sylwetka kierowcy obrysowana łagodnym blaskiem zatraciła swoją kanciastość, afro kuliście obramowujące głowę zmieniło kolor z czarnego na złocisty. Eddy wyglądał teraz jak święty, i dobrze o tym wiedział.

– To będzie opowieść o śmiertelnych kałużach – zaczął. – Opowiem ją ja, Eddy, gawędziarz z Kinszaszy...

Pewnego razu w naszym wielkim mieście zbudowano browar. Wszyscy się cieszyli i chodzili patrzeć, jak powstawały doły, a w nich kładziono rury. Jak rosły budynki oplatanie pajęczą siecią kabli, jak ciężarówki przywoziły pasy, po których miały jechać puste butelki. Jak skręcano kraniki, z których miało lecieć piwo, jak montowano maszyny do nalewania i do mocowania kapsli. Ja też tam byłem i na to patrzyłem. Do czasu. Bo pewnego dnia wielki mur, który rósł wokół browaru, całkiem go otoczył, aż została tylko dziura na bramę. A z dziurą wiadomo, jak jest. Zatkano ją. Bramę, znaczy się, zamknięto na kłódkę.

Od tej pory ludzie chodzili dokoła browaru, bo do środka zajrzeć już się nie dało. Stawali pod płotem i słuchali, ciekawi, jakie odgłosy wydaje produkowane piwo, ale za płotem tylko coś buczało. Stracili w końcu zainteresowanie tym browarem, a nawet go zniechcili. Myśleli, że im, sąsiadom, skapnie trochę primusa za darmo, ale gdzie tam! Płot był wysoki na trzy metry, brama

szczyrzyła zębiska, aż ktoś ze złości namalował na murach srającą krowę.

I wtedy się zaczęło!

– Zaczęto szukać sprawców? – Bastien sięgnął po papierosa, szczęknął poślaczaną zapalniczką ozdobioną lwami: po jednej stronie złoty na czarnym tle, po drugiej czerwony na żółtym, z zielonym pasem pośrodku. Lew belgijski i lew kongijski.

– E tam! – roześmiał się Eddy, po czym zniżył głos do zło-wieszczonego szeptu. – Browar zaczął ludzi zabijać...

Bastien odrzucił głowę do tyłu, z jego gardła wydobył się gulgot, cała sylwetka zatrzęsała się w fotelu.

– Browar! – śmiał się, aż się rozkaszał. Uderzył się otwartą dłonią w szeroką pierś. – Tu ludzi zabija prezydent Mobutu, a nie żaden browar.

Eddy wyprostował się i wydał z siebie fuknięcie, które wy-rażało coś pomiędzy zdumieniem a pogardą.

– I wtedy się zaczęło... – podjął, nie zwracając uwagi na kaszel Bastiena.

Pierwszego martwego człowieka znaleziono pod płotem browaru nazajutrz po tym, jak na płocie pojawiła się krowa. Leżał w kału-ży, twarzą do dołu, a kiedy go podnieśli, zobaczyli, że w oczach miał takie przerażenie, jakby zobaczył samego diabła.

– A nie mówiłem? – Bastien pochylił się nad gazetą leżącą na stoliku i pstryknął w widoczną na pierwszej stronie fotografię dyktatora w czapce z futra lamparta.

Drugiego dnia znaleziono następnego. Leżał dwa kroki od miej-sca, gdzie zmarł poprzedni, na twarzy miał ten sam grymas strachu. Od tego czasu ludzie omijali browar. Nikt przy zdrowych zmysłach się tam nie zapuszczał, cała okolica wiedziała, że pod krową zabija. Pracownicy zbliżali się do bramy zawsze od drugiej strony, ulicą, z której nie było widać rysunku.

Aż pewnego dnia córka dyrektora fabryki, która zawsze jeździła samochodem z szoferem, postanowiła zrobić ojcu niespodziankę. Po-

prosiła kierowcę, żeby zaczekał na nią na tyłach fabryki, a sama wysiadła, wzięła parasolkę, bo bardzo padało, i pobiegła wzdłuż płotu...

Zachodzące słońce prześwieciło czerwienią afro Eddy'ego, smukła sylwetka ciemniała na tle widocznego za wodą Brazzaville. Bastien odchrząknął.

– I co, po jej śmierci dyrektor zaczął wreszcie dawać sąsiadom piwo za darmo?

Eddy uniósł powolnym ruchem ramiona, otwarte dłonie kierując w stronę nieba. Zanucił pod nosem, po czym urwał i opuścił ręce.

– Dyrektor okazał się skąpcem – rzucił sucho. – Piwa nie dał, a córek miał wiele. Za to związki zawodowe zażądały wyjaśnienia sprawy. Dyrektor sprowadził odczyniaczkę uroków, ale związki wysłały pod płot elektryka. Okazało się, że kable, które sterczały zza ogrodzenia, nie zostały zabezpieczone. Gdy padało, kałuże były pod prądem, a w porze deszczowej, kiedy praktycznie cała ulica stawała się jednym wielkim potokiem, to przejście stanowiło śmiertelną pułapkę.

Złożył się w szczyryk.

– I tak właśnie było. A opowiedziałem to ja, Eddy, gawę...

– Czekaj – przerwał mu Bastien. – Która to ulica? Browar jest w Bon Marche, to niedaleko mieszkania Lily. Rozumiem, że od tamtej pory zabezpieczyli te kable?

– ...dziarz z Kinszasy – dokończył Eddy, kładąc sobie dłoń na piersi. – Lily mieszka całkiem niedaleko, to prawda. A kable wciąż są niezabezpieczone.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?!

Eddy wyszedł z obramowania muślinowych zasłon.

– Każda opowieść ma swój czas.

Eddy wyznał córce po latach, że życie bywa zaskakujące. Uwiązany pracą i rodziną, i tak czuł się wolny. Deklamował po kawiarniach lub na wieczorkach dla dyplomatów organizowanych przez

żonę Bastiena, kochał intensywnie, pocieszając odrzucone kochanki pracodawcy. Nie zapominał o Mrówce, którą brało mu się najlepiej, gdy była w ciąży. Kiedy brzuch zaczynał być widoczny, stawiała się tak chętna i łatwa do zaspokojenia, że rzeźbiarz Resztka, przyjaciel Eddy'ego, u którego mieszkali, musiał sobie częściej sprowadzać dziewczyny. Posuwał je za ścianą, rywalizując z Eddym w tym, czyja będzie intensywniej jęczała. Wolał to, niż leżeć ze sterzącym przyrodzeniem, wsłuchany w śpiewy Mrówki, wobec których żaden mężczyzna nie mógł pozostać obojętny.

Pewnego dnia Bastien zawołał Eddy'ego, żeby mu coś powiedzieć. Zapytany, czy woli najpierw nowinę dobrą czy złą, kierowca, jako optymista, wybrał dobrą.

- Możesz ze mną jechać – oznajmił Belg.
- Dokąd? – Eddy spojrzał na niego zdezorientowany.
- Trzeba było wybrać złą, tobyś wiedział.

Zła nowina była taka, że Bastien wkrótce kończy pracę w Kinszasie i wraca do Belgii. Zaproponował Eddy'emu, że weźmie go ze sobą, przydałby mu się kierowca w firmie, którą zamierzał rozkręcić po przyjeździe. No i przyzwyczał się do jego gawęd.

Eddy od razu się zgodził. Nie mógł sobie wyobrazić powrotu do warsztatu, w którym znów reperowałby w upale samochodu. U boku Bastiena zaznał barwnego życia. Kochał Kinszasę, zwłaszcza Matonge, ale był przekonany, że wędrowny gawędziarz w nim nie umarł, chociaż założył rodzinę. Żeby się o tym przekonać, musiał znów ruszyć w drogę.

Alia nic nie zapamiętała ze swojego kraju. Jakby wraz z wejściem do samolotu zamknęły się za nią drzwi. Wszystko, co działo się od tamtej pory, wrażało się jej w pamięć z bolesną dokładnością: ryk silników i płacz Joego podczas startu, nagły ucisk w żołądku, gdy samolot wzniósł się nad pas, uczucie

nieważkości, kiedy wisiał nad chmurami. Matka co chwila przystawiała syna do piersi, ojciec śledził z zapartym tchem wszystko, co przesunęło się za okrągłym okienkiem, potem wpatrywał się już tylko we własną twarz widoczną na tle ciemności. Alia przez całą drogę nie ruszyła się z miejsca, nawet kiedy zachciało jej się siusiu. Wbiła wzrok w białą serwetkę przewieszoną przez zagłówek siedzenia przed nią. Przez lata śniła jej się później ta serwetka, w którą bezpowrotnie wsiąkłły wspomnienia z Kinszasy.

Z lotniska odebrała ich siostra ojca. Alia jej nie знаła, bo jeszcze zanim się urodziła, ciotkę wysłano do Belgii, żeby wyszła za mąż za jakiegoś białego. Ona tymczasem, zamiast posłuchać rodziców, skończyła szkołę dla pielęgniarek, znalazła pracę w swoim zawodzie i wynajęła mieszkanie w suterenie. Alia miała mówić do niej „mamo Issa”, chociaż nie przypominała żadnej z mam, które dziewczynka знаła. Wysoka, szczupła, wyglądała na bliźniaczkę Eddy’ego, mimo że była od niego młodsza. Różnili się fryzurami: Eddy nosił teraz krótkie dredy, jego siostra – afro.

Wspomnienia pierwszych dni w Europie utonęły w deszczu, chłodzie sutereny mamy Issy, u której zamieszkali na początku, i rytmie nocnych wycieczek Alii do toalety. Rano, tak czy inaczej, budziła się w wystygłej plamie żółtej wilgoci.

Zapamiętała przeprowadzkę, bo gdy wspięła się po schodach, przytrzymując się chwiejnej poręczy, i pchnęła drzwi klatki schodowej, nieoczekiwanie przytulił ją promień słońca. Było sucho i jasno, pierwszy raz od czasu, kiedy tu przyjechali. Alia stanęła tyłem do okna sutereny, do krat, na których mama Issa uczyła ją liczyć. „Raz, dwa, trzy...” – głos ciotki w świeżych wspomnieniach przeplatał się z dudnieniem tramwaju toczącego się w pobliżu po szynach.

– No, co tak stoisz! – Mrówka, która właśnie wytaskała się na ulicę z Joem usadzonym na biodrze, szturchnęła ją w bok.

Tramwaj w oddali zadzwonił ostrzegawczo. „Cztery, pięć” – liczyła po francusku mama Issa. Hamulce zazgrzytały, za chwilę tramwaj przystanie, drzwi otworzą się z klekotem. „Sześć, siedem” – dokończyła w myślach Alia. Do ośmiu nigdy nie doliczyła, bo słupków podrzewiających krat widocznych za oknem sutereny było tylko siedem. Mama Issa wymieniała dalsze cyfry, ale po siódemce Alia zamykała oczy i kręciła głową, aż kolorowe gumki zsuwały jej się z kucyków. Mama Issa wzdychała. Zdążyła poznać upór tego dziecka. Jeszcze chwila, a Alia odszczeknie, że siedmiu jest krasnoludków, siedem mil, które pokonują czarodziejskie buty, siedem zabitych much, których liczba zapisana na pasie pyszałka ma moc odstraszenia zbójców. Tak było w bajkach, które oglądała w telewizji. Na razie jednak miała tylko zeskakiwała z kolan ciotki.

– Siedem jest w sam raz – mówiła.

Mama Issa wstawiała i podchodziła do dwupalnikowej kuchenki. Dotykała palcem ryżu, sprawdzając, czy już doszedł, i mruzczała pod nosem, że nie wie, co będzie z tą upartą dziewczynką i jej kulawym francuskim oraz niechęcią do liczb. Powtarzała, że kobieta musi być wykształcona, bo na mężczyzn nie ma co liczyć. Gniewała się, widząc, że Alia zamiast się uczyć, gapi się w telewizor.

Mrówka też nie odrywała się od telewizora, zapadła się w seriale tak, że nie mógł jej od nich odciągnąć nawet płacz Joe-go. Po przekroczeniu progu mieszkania, w którym kilka tygodni po przyjeździe zainstalował ich Bastien, natychmiast zajęła miejsce na kanapie przed telewizorem. W Kinszasie rzadko wychodziła z domu, bo mówiła, że boi się zgubić, sutereny mamy Issy nie opuszczała z powodu niechęci do deszczu. Tu od wychodzenia odstręczała ją winda. Stara, metalowa, przypominająca kłatkę dla ptaków. Często blokowała się między piętrami, trzeba było czekać, aż ktoś ją ściągnie na parter. Po spędzeniu w windzie dwóch godzin z płaczącym Joem Mrówka zapowiedziała, że

nie będzie jej więcej używać. A po schodach nie ma siły wchodzić z dzieckiem i siatkami.

Dwa pokoje na strychu, które wynajął im Bastien, wkrótce zabałaganiły się nieskładanymi ubraniami, a także jednorazowymi torebkami po zakupach, plastikowymi butelkami i pojemnikami po serach i jogurtach, które mama Issa poleciła im gromadzić. Nie wzięła pod uwagę, że nie miał kto ich myć, bo Mrówka ograniczała czynności domowe do minimum. Zakupy robiła właśnie mama Issa, a jeśli akurat miała dyżur w szpitalu, zastępowała ją Alia.

Dziewczynka nie przyznawała się, że też boi się jeździć windą. Nie dosięgała do przycisku na samej górze, przez co musiała wysiadać na przedostatnim piętrze i pokonywać ostatni odcinek piechotą w egipskich ciemnościach, bo nikt nie wymienił przepalonej żarówki. Do mieszkania prowadziło siedem stopni na półpiętro, siedem pod drzwi plus wysoki próg. Żeby nie potknąć się na schodach, musiała liczyć – i tylko dzięki temu wyszła poza siódmkę.

Szybko też nauczyła się, że najlepiej zrobi, jeśli szybko zejdzie z oczu obu mamom. Mama Issa przychodziła do nich po dyżurze w szpitalu spowita zapachem środków odkażających, które mieszały się z woniami z kuchni. Podawała im obiad, po czym sadzała Alię przy kuchennym stole i kazała jej przepisywać rządkii liter.

– Musisz być najlepsza – powtarzała.

Alia pokładała się, udając, że boli ją brzuch.

– Pisz! – Mama Issa, jako pielęgniarzka, umiała odróżnić prawdziwy ból brzucha od fałszywego.

Alia pisała swoje pierwsze litery, łowiąc z telewizora melodyjki z *Dallas*, westchnienia z *Dynastii* oraz reakcje matki śledzącej losy bohaterów, jej: „ajajaj!”, „o!” i przeciągłe cmoknięcia wzmacniane klepaniem się po udach. Kiedy w te odgłosy wdzierały się krzyki Joego, głos matki przechodził w jęk.

– Aaaliaaa!... Joe płacze, przewiń go!

Alia przygarbiała się nad zeszytem i tym pilniej stawiała swoje kulfony. Czekwała na to, co miało nieuchronnie nastąpić: pełne niedowierzania fuknięcie mamy Issy, jej ręce o długich palcach lądujące jak szpony wściekłego ptaka na biodrach opiętych džinsami i chrapliwy głos dochodzący z głębi przepony schowanej za wyćwiczonymi mięśniami brzucha, przeciwieństwa krągłości, która wypychała barwne spódnice Mrówki.

– Aaaliaaa!... Joe płacze, przewiń go!

– Jeszcze czego! – Owalny cień fryzury mamy Issy kładł się na zeszytcie Alii, która z podejrzaną pilnością cyzelowała pisownię francuskiego „r”.

Płacz Joego zagłuszał dźwięki *Dynastii* i protesty ciotki, która broniła prawa bratanicy do spokojnej nauki, prawa należnego każdemu dziecku, a zwłaszcza dziewczynce, bo te mają w życiu zawsze pod górkę.

– Aaaliaaa!...

Syknięcie mamy Issy, gniewny brzęk bransoletek, suszarki z kuchni do pokoju.

– Dziewczyna się uczy, nie widzisz?!

– Aaal...

– Ja go przewinę! – warczała w końcu mama Issa, chwytając wrzeszczącego Joego.

Ojca Alia widywała rano. Kiedy się budziła, czuła zapach wody kolońskiej, którą spryskiwał się przed wyjściem do pracy. Dreptała za nim do przedpokoju i patrzyła, jak zakłada przed lustrem swój strój szofera: szary garnitur, krawat, ciemniejszą czapkę z daszkiem. Potem sama szybko się ubierała i stawiała w przedpokoju pod zdjęciem przedstawiającym ojca, kiedy był w jej wieku. Ciemne szorty na czarno-białej fotografii wyglądały jak krótsza wersja spodni, które nosił teraz, jasna koszula ściśnięta paskiem tak samo marszczyła się na szczupłym brzuchu.

– Tylko samochodem jeżdżę teraz gorszym – powiedział któregoś dnia, wskazując białego mercedesa, o którego opierał się na zdjęciu. Obok dwuletnia mama Issa ubrana w bufiastą sukienkę krzywiła się, patrząc pod słońce.

– Co się stało z tym?

– Ojciec go w końcu sprzedał. Szkoda, że teraz takich nie robią. W środku było tyle miejsca, że dałoby się w nim tańczyć.

– Nie możesz takiego kupić? – zapytała Alia.

– Ja, kupić?! – parsknął Eddy i wygładził boki marynarki. – Bastien ma samochodów za nas wszystkich! Volvo dla żony, simkę dla córki, a dla siebie czerwoną corvette... Ma niezłe przyspieszenie, ale człowiek wychodzi stamtąd całkiem pogięty. Może gdybym był wzrostu Bastiena... Wzięłaś kartkę z naszym adresem, w razie gdybyś się zgubiła?

Alia poklepała się po kieszeni i poszła za ojcem do windy. Głos matki i zapędy pedagogiczne ciotki, która uparła się, że bratanica musi umieć pisać, zanim pójdzie do szkoły, miały ten skutek, że dziewczynka postanowiła przemóc lęk przed windą i oswoić świat poza mieszkaniem. Godzinami plątała się po ulicach; wracała dopiero, kiedy matka wychodziła na spacer z Joem i wytaskiwała wózek na zewnątrz. Zobaczywszy, jak znikają na końcu ulicy, Alia otwierała drzwi kluczem, który od pewnego czasu dumnie nosiła na szyi. Zapadała się w sofę i oglądała anime, zrywała się dwie godziny później na szczęknięcie windy ściąganej przez matkę. Druciana konstrukcja zjeżdżała na parter, a Alia przyczajała się na ciemnym półpiętrze, gotowa zbiec na dół – byle tylko uniknąć zajmowania się bratem.

Okrążyła kwartał ulic, który w jej głowie przybrał kształt sera brie. Na jego szpicu odkryła osiedlowy sklepik spożywczy z żółtym szyldem. Napis na nim zaczynał się od litery A.

– A-li-men-ta-tion Ge-ne-rale – przesylabizowała pewnego dnia.

Jak zwykle minęła sklepik i poszła w górę ulicą, którą nazywała ulicą Dziobów, bo ze ścian budynków, jakieś dwadzieścia centymetrów nad trotuarem, wystawały metalowe klamry. Nie wiedziała po co. Ulica Dziobów wiodła do małego skwerku, za którym znajdowało się szkolne boisko otoczone siatką. Alia przedostała się przez dziurę do środka. Chwilę tam stała, gotowa do ucieczki, a potem jej wzrok przykuła piłka, za którą uganiała się chmara chłopców. Nie zastanawiając się długo, Alia ruszyła przed siebie.

– Czego tu chcesz? – Szczupły chłopiec jej wzrostu oderwał się od bramki i ruszył w stronę przybyłej.

Miał kręcone czarne włosy, które wiły się nad czołem. Francuski obco chrząkał mu w gardle. Alię onieśmielił ten dźwięk. Nic nie odpowiedziała, tylko wskazała piłkę.

– Umiesz chociaż grać? – zapytał.

Wzruszyła ramionami. Co tu było do umienia?

– Potrzebujemy drugiego bramkarza. – Drugi chłopiec był niższy od niej, budową przypominał koalę.

Spojrzał na przywódcę grupy, który obrzucił taksującym spojrzeniem przybrudzone adidas Alii, wypchane na kolanach spodnie dresowe i zbyt dużą bluzę zwisającą z chudych ramion. Na końcu zatrzymał wzrok na jej czapce z daszkiem z nazwą „Bayer” na przodzie – była to reklamówka firmy farmaceutycznej przyniesiona ze szpitala przez mamę Issę.

Dał znak, żeby przetrząść do niego piłkę. Dotknął jej czubkiem buta i chwilę odbijał, popisując się zręcznością. Nieoczekiwanie kopnął piłkę w kierunku Alii, która błyskawicznie ją przejęła i skierowała się w stronę pustej bramki.

– Mohamed, broń! – usłyszała za sobą.

Chłopiec o sylwetce koali zataraśował bramkę, pozostali ruszyli za nimi, zagrzewając ich okrzykami. Alia z biegu posłała piłkę, która przeleciała tuż nad ramieniem Mohameda i wpadła do bramki.

– Gooooo!... – dobiegło z kilkunastu gardeł.

Smukły przywódca grupy przypatrywał się jej bez słowa, włosy spadły mu na czoło. Przejął piłkę i zanim Alia zdążyła zareagować, kopnął prościutko w górę. Ciało dziewczynki spięło się i wystrzeliło pionowo za nią. Główka – i posłała piłkę z powrotem do bramki.

– Gooooo!...

Schyliła się, żeby podnieść czapkę. Kiedy się wyprostowała, wokół panowała martwa cisza.

– E, to baba! – Ktoś wskazał palcem jej warkoczyki.

– Umie grać – odezwała się Alia po raz pierwszy. Głos miała zachrypnięty.

– I co z tego. – Przywódca grupy wzruszył ramionami. Już się nie uśmiechał.

– Przecież widziałeś, że umie grać, Younes – ujął się za nią Mohamed.

Younes odwrócił się do niego gwałtownie.

– I co z tego?!

Alia wracała, kopiąc klamry wystające ze ścian na ulicy Dziobów. Kropiło, bluza przylepiała jej się do łopatek. Kiedy dotarła do domu, winda znów zatrzymała się między piętrami i obsunęła o pół piętra. Alia cisnęła czapką o podłogę. Nie miała pojęcia, ile czasu przyjdzie jej tu siedzieć.

Naraz po prawej stronie coś zaszurało. Brązowe półbuty zbliżyły się do metalowych prętów. Jedna skarpetka zsunięta, powyżej przybrudzone szorty.

– Patrzcie, kto się złapał do klatki! – W głosie chłopca brzmiał obcy akcent.

Przykucnął, żeby przypatrzeć się Alii. Miał niedużą trójkątną twarz usianą piegami i włosy ostrzyżone przy samej skórze.

– Małpa w klatce! – zawołał. – Mał...

Nie skończył, bo czyjś but trafił go celnie w siedzenie.

– A ty, makaroniarzu, lepszy jesteś?! – Alia usłyszała znajomy głos.

– Mohamed, odbiło ci?! – Chłopiec masował się po pośladku. – Nic do ciebie nie mam. Do niej mówiłem.

– Myślisz, że jesteś od niej lepszy, Giovanni?

– Od ciebie na pewno, brudasie!

Mohamed rzucił się na Giovanniego, ale ten był szybszy, podciął go, usiadł mu na brzuchu i zaczął okładać po twarzy. Alia wspięła się po metalowej konstrukcji windy, aż znalazła się pod sufitem. Sięgnęła nogi Giovanniego, pociągnęła ją z całej siły do siebie i wgryzła mu się w łydkę.

Klatkę schodową wypełnił wrzask. Mohamed przesadził schody i ściągnął windę z Alią, zanim krzyki wywabiły na podest sąsiadki. Gdy Mrówka wtoczyła się do kamienicy, pchając przed sobą wózek z Joem, dwie sylwetki, jedna długa i chuda, druga krągła jak u koali, zniknęły za rogiem.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca